



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. i sgr. 20.

DO...

Młodość jest darem bożym, lecz nie jest zasługą,
Jej bogate zasoby, to wiosenne kwiecie,
Których może nie starczy na wędrówkę długą,
Jeśli je wicher życia wczesnym rankiem, zmiecie.

Dlatego nie bądź dumny, młodzieńcze! Tysiące
Już młodych ludzkich piersi równie silnie biło,
I na promienne prawdy wiekuistej słońce
Tysiące młodych oczu z zachwytem patrzyło.

Lecz blaski, co młodzieńcze otaczały głowy,
Rzadko kiedy na męskiej pozostały skroni,
A młodocianych marzeń i pragnień.... połowy
Nikt chyba nie utrzyma w tytanicznej dłoni.

Tobie życzę, by blaski i kwiaty i siły,
Które życie rozprasza i łamie i kruszy,
Mimo pracy powszedniej, kwitły i świeciły,
I niespożyta była młodość twojej duszy!

Róża.

KOBIETA I DOBROCZYNNOŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Obraz widzianych cierpień, myśl o takich nędzach ludzkich, że nawet litość sama, nie mogąc pokonać wstępu, odwraca się od nich, nie mogła już odstąpić Joanny Franciszki. W duszach silnych wrażenia, raz otrzymane, ryją się głęboko: i ona też nie mogła spokojnie skłonić głowy do poduszki, myśląc o tych różnych istotach nieszczęśliwych które wytrącone ze społeczeństwa bliźnich swoich, muszą naksztalt zwierząt ranionych kryć się odludnie i umierać samotnie na garści barłogu, łaknąć kropli wody, oddechu powietrzem czystym. I ani słowa pociechy! ani promyka współczucia!... Serce Joanny Franciszki podniosło się nagle wzniosłem uczuciem bohaterskiego przedsięwzięcia; a że oprócz niej jednej istniały jeszcze inne kobiety samotne, niekochane przez nikogo, niemające nic, nic na wyłączną własność serca swego: postanowiła zwrócić się do nich o współdziałanie, a tymczasem sama zabrała się do ofiarnej swej pracy. Najęła na oddalonej uliczce „Vide Bourse“ izdebkę, mającą dostateczny przystęp świeżego powietrza i wkrótce znalazła się dla niej lokatorka: młoda dziewczyna uratowana z pożaru płonącego domu wtedy już, gdy całe ciało było opalone. Marya „la Brûlée“ cierpiała straszliwie i nikt z rodziny, ze znajomych, nie chciał zająć się opatrywaniem takich ran strasznych, nie chciał jej przyjąć pod dach swój, aż uczyniła to Joanna Franciszka. Przecież wkrótce dowiedziała się o dwóch jeszcze kobietach nieszczęśliwych, dotkniętych okrutną chorobą raka i zabrała je również; dwie wdowy wtaje-

mnione w jej zamiary, zagrzane świętym zapalem, który ją przenikał, przyłączyły się też do niej, lecz dusza Joanny Franciszki, z natury gorąca i ogarniająca myślą przestwory szerokie, nie mogła poprzestać na tej troszce dobrego, które zostało już dokonaniem, gdy pole pracy w tym kierunku było tak ogromne. Każda miłość prawdziwa potęguje się i rośnie z czasem, staje się coraz głębszą i wypełnia serce całe, zabiera je sobie w zupełności i proces ten odbył się w piersi Joanny Franciszki. Brakowało jej na spełnienie przemysliwanego dzieła pieniędzy, ale mieli je inni: i oto staje się ona naraz kwestarką na szpital kobiet dotkniętych nieuleczalnymi ranami; że przecież nie posiadała na to nic, prócz gorącego pragnienia chrześcijańskiego czynu, ludzie ruszali ramionami, śmiali się jej w oczy. Ona zapalała się i unosiła, więc nazywano ją szaloną, lub komedyantką i przesłała przez wielorakie upokorzenia, które jednak nie odstraszyły ją od powziętego zamiaru, bo uczucie miłości bliźniego było u niej silniejszym niż miłość własna, niż duma osobista. Nie opuściła zatem rąk, tylko poszukała sobie innej drogi działania. Zwróciła się o pomoc do arcybiskupa lyońskiego, którym wtedy był wysoki dostojnik Kościoła, kardynał Bonald. Tego uderzyła szlachetna siła jej uczucia i wysłuchał całego planu, który roztaczała przed nim tak, jak istniał w jej myśli: śmiały ale nie niewykonalny, bo jednak serca ludzkie zdolne są wzruszyć się miłosiernie, ręce wyciągnąć z datkiem ofiary, szczególnie, gdy przed oczyma stoi taki przykład, jak Joanny Franciszki, dający świętą zarazę poświęcenia. Kardynał zrozumiał to i najpierw też dał jej samej rzecz nieoszacowaną, to dobre słowo, którego potrzeba pracownikowi każdemu, aby duch jego nie upadał i nie ginęła wiara w siebie.—Zamiary twoje są świętobliwe, a choć trudne do wykonania, nie trwóż się, bo Bóg jest z tymi, którzy pragną sprawiedliwości—rzekł, a następnie obiecał pomoc, która nie zawiodła. Stowarzyszoną potrzebą było wobec

ludzi miana jakiegos i dał je im, nazwał: „Kalwarytkami“, bo jak Święte Niewiasty za Chrystusem, tak one szły na Kalwaryę bołści za ludzkością cierpiącą i oto zaraz rzeczy wzięły obrót inny. To, co wczoraj wobec samotnej kwestarki wydawało się ludziom szaleństwem, teraz stało się przed niemi jako wzór szczytnej ofiary i wkrótce obok małej izdebki, która przyjęła najpierw biedną Maryą „la Brulée“, można było najać cały domek z miejscem na osiemnaście chorych. I pań stowarzyszonych przybyło również, a te podzieliły się na dwie grupy: jedne, które służyły przy łóżkach chorych, drugie, które kwestowały, bo zakład nie miał nigdy majątku żadnego nad to, co każdego dnia udało się uzbierać od ludzi dobrej woli. Najęcie domku nastąpiło w dniu 3 Maja 1843 r., a w dwa lata potem, już i tam zaczęło być ciasno Kalwarytkom i 5 Maja 1845 przeniosły się do obszerniejszego budynku w pobliżu kościoła Najświętszej Panny z Fourvières, uważanego przez lud pobożny za miejsce święte, i od tej chwili istnienie zakładu było zapewnione; dawał i dawał bez ustanku grosze swe drobne tłum najbiedniejszy i teraz już nie było trzeba lękać się zapomnienia, zniechęcenia, zmiany mody. Lud francuzki przyjął Kalwarytki do rodziny poświęconych służebnic Bożych.

I stał się już teraz z ich zakładu szpital publiczny; stowarzyszone nie mogły podołać same pracy, potrzeba było przyjąć posługaczki, które napływały chętnie, a także pod siłą uczucia miłosierdnego, aby służyć cierpieniu, bo darmo, bez zapłaty żadnej, i trzeba było dać teraz stowarzyszeniu ustawę, któraby określiła porządek pracy i stała się dla domu całego regulaminem karności. Że stowarzyszenie pozostało najzupełniej świeckiem, że nie było tu żadnych ślubów, żadnej reguły zakonnej, Joanna Franciszka opierając się na doświadczeniu, sama obmyśliła i spisała ustawę, dotychczas istniejącą i jedynie obowiązującą Kalwarytki, którym głównie wyznacza podział pracy. Trzeba, przystępując do stowarzyszenia, wybrać sobie tę pracę wedle sił i usposobienia swego, aby potem nie było opuszczenia się i zaniedbania, na którym cierpiałoby dzieło miłosierdzia, dzielące się na 4 kategorie stowarzyszonych: I-o wdowy przychodzące do zakładu, dla opatrywania chorych, II-o wdowy mieszkające w zakładzie i wykonywające wszelką koło chorych posługę, III-o wdowy kwestarki, obowiązane starać się o fundusze, zdolne opędzać potrzeby stowarzyszenia; wreszcie IV-o stowarzyszone wszelkiego stanu, płacące roczną składkę, najmniej 5 franków kwartalnie. Jeden z paragrafów tej ustawy zastrzega wyraźnie świeckość stowarzyszenia i nie obciążanie stowarzyszonych żadnym ślubem, żadnym innym obowiązkiem, prócz przyjętej na siebie pracy. Stowarzyszona może się cofnąć zawsze, gdy tego chce, może następnie ze zmianą okoliczności powrócić znowu do obowiązków, pełnionych poprzednio, lub obrać sobie inne, które po nabytym doświadczeniu uważa za odpowiednie dla siebie a ta swoboda, ta wolność w wyborze pracy, sprawiała, że stowarzyszone pełniły przyjęte na siebie powinności z przejęciem, z uczuciem obowiązku spotęgowanem dlatego, że był on własnowolnym. I wpłynęło to również na powiększenie liczby stowarzyszonych: ślub, który wiąże, przenika zawsze trwogą pewną, której nie ma obok wolności, gdy nie zamyka się za nami drogi odwrotu, nie krepuje się przyszłość cała.

Praca Kalwarytek jest tak ciężką, opierać się musi na tak wielkiej i wyjątkowej miłości bliźniego, że nie ma potrzeby lękać się tu tych istot płochych, które jak muchy siadające na krzyżu, ciśną się wszędzie pod uniesieniem chwili pierwszej, a potem, gdy wrazenie się zatrze, zapominają lub cofają się znudzone. Joanna Franciszka rozumiała to i dlatego ustawa jej jest sporządzona jak dla dusz poważnych i głęboko czujących. Ze takie stały tu do szeregu służebnic bołści, dowiodło nad pojęcie szczęśliwe rozwijanie się dzieła stowarzyszonych, bo dom obok kościoła nie pozostał ostatnim ich domem. Joanna Franciszka z szaloną rzeczywiście odwagą rzuciła się na nabycie obszernej posiadłości La Sarra, położonej na wzgórzu Fourvières, z domem mieszkalnym, który nosił nazwę zamku i obwodem dość obszer-

nym, aby zbudować na własnym gruncie prawdziwy już szpital, bo z wszelkimi warunkami, jakich wymaga opatrywanie nieuleczalnych: ze słońcem i powietrzem dającym się należycie odświeżać, z kąpielami obfitującymi w wodę bieżącą, z oddzielnym wreszcie pomieszczeniem chorych, co tu można było mieć w zupełności, gdyby zbudowano szpital właściwy, a dawny dwór oddano na mieszkanie stowarzyszonych, które wtedy znalazłyby się również w zdrowszych i mniej ciężkich warunkach istnienia. Kiedy Joanna Franciszka dowiedziała się, że posiadłość La Sarra jest do sprzedania, w kassie stowarzyszenia nie było tyle nawet pieniędzy, aby pokryć materialne koszty nabycia, przecież z niesłabnącą nigdy siłą woli, rzuciła się, jak mówi przysłowie: głową na przód, to jest głową, która chce przebić mur. I przebiła go. Sprzedaż odbywała się pośpiesznie i ona w jednym i tym samym dniu była u właściciela ośm razy. Ustąpił 30,000 franków i spisano punkta przedugodne, ale gdzie znaleźć tak znaczne kapitały, jakich tu było potrzeba? Wdowa Girard, pierwsza towarzysza dzieła Joanny Franciszki połączyła z nią usiłowania swoje i dwie te kobiety dopięły razem cudu: zwołano wszystkie osoby mające jakikolwiek związek z zakładem nieuleczalnych, wystawiono korzyści kupna i wielkie jego znaczenie dla stowarzyszenia—tak przemawiano, tak dowodzono, że jakkolwiek prócz nabycia istniejących budynków należało wznieść nowe, pieniądze potrzebny znalazł się w rękach Joanny Franciszki, i 2 Lipca 1853 stowarzyszenie przeniosło się do własnej już siedziby, wśród zieleni pięknych, cienistych ogrodów, ze strumieniem, który szemrał w pobliżu, z dworem szlacheckim, który wznosił się malowniczo. Joanna Franciszka, obejrawszy się teraz wkoło siebie, mogła się ucieszyć dziełem swoim—swojem w całym znaczeniu tego słowa, bo wszelka inicjatywa wychodziła od niej i pomoc, jaką otrzymywała od dobrych ludzi, pomoc, jakiej przedewszystkiem udzielił jej kardynał Bonald, była owocem zabiegów tej odważnej, mężnej, mocnej kobiety. Przy niej wreszcie pozostawał zawsze cały kierunek przedsięwzięciem—główny ster nawy.

Kiedy dziesięć lat przedtem przenoszono się z ciasnej izdebki przy ulicy Vide Bourse, do najętego w pobliżu domku, a woźnica fiakra nie chciał dla wstępu przyjąć do swego powozu Maryi poparzonej, Joanna Franciszka musiała sama wpaść ją na ręce i przenieść nieszczęśliwą na nosze z kółkami, które ciągnęła aż na miejsce. Teraz oprócz stowarzyszonych było kilkanaście posługaczek i miało ich znaleźć się tu wkrótce kilkadziesiąt. Zakład stowarzyszonych był niejako nowicjatem i szkołą świeckich siostr miłosierdzia, które rozchodząc się potem po wsiach i miasteczkach rodzinnych, oddawały tam wielkie usługi ludności ubogiej.

W chwili owych przenosin, Joanna Franciszka miała lat czterdzieści dwa, nie będąc nigdy piękną, miała oblicze techną wielką dobrocią, była przytem żywą w ruchach i zdawało się, że jest bardzo zdrową i mocnego organizmu, bo od dwudziestu lat wdowieństwa swego nie chorowała nigdy poważnie i tylko od czasu do czasu zapadła na pewnego rodzaju niemoc. Ale była energiczną i po odpoczynku niejaki, wracała znów do pracy, która zdawała się jej żywiołem tak dalece, że ci, którzy sądzili powierzchownie, widząc ją tak wkrótce po zasłabnięciu znowu na posterunku, uważali, że się pieści, że robi rzecz wielką z niczego. Ona jedna wiedziała, jako to była pieszczota owa i nigdy jej nie zabrakło tam, kędy potrzeba było jej obecności, do czego dopomagała jej wielka nerwowość, połączona, jak zwykle u natur żywszych, z wrażliwością, która dopomagała jej o tyle, że często nawpół omdlewająca, umierająca rano, w południe, gdy ją coś podnieciło, wzruszyło nagle, znajdowała się przy pracy, tak jej oddana, tak czynna, jak osoba najzdrowsza. Ale życie takie wyczerpuje siły rzeczywiste, zastępując je chwilowo sztucznymi—i tu tak było. Ledwo, że stowarzyszenie przeniosło się do La Sarra, ona położyła się do łóżka. Zmęczyła się, tylko, że teraz odpoczynek miał być długi i z którego nic już wzruszyć jej nie mogło. Podnosząc się chwilami i kładąc znowu, umarła d. 28 Gru-

dnia 1853 roku, to jest w niecałe sześć miesięcy po ukończeniu zupełnem, po ugruntowaniu doskonałem dzieła swego.

Dopięła zamierzonego celu, więc powiedzieć można, że życie to było na swój wyższy, szlachetny, idealny sposób—szczęśliwem. Przecież na ostatnie jego godziny paść musiał cień smutku, który dał jej uczuć, że umiera samotna, bez nikogo takiego, któremu by była drogą i któryby też postawił się pomiędzy nią a przykrością, a nadużyciem siły, jaką wywarło nad zesłabłą. Joanna Franciszka miała wśród życia swego jedną jeszcze myśl, którą musiała porzucić, ale której oddawała się często pod wpływem gorącego wzruszenia uczuć swych miłosierdnym. Stykając się ustawicznie z nędzą, stykać się musiała nieraz z zepsuciem, widziała nieraz przepadającą wśród niej młodość i wtedy usiłowała ją ratować, często przecież spotykał ją zawód, raz był nawet bardzo bolesny; ale nieraz też uratowała jakąś duszę, która byłaby zginęła bez pomocnej jej ręki, nieraz trafiła na uczucie bardzo wdzięczne i ono to spowodowało, że pewna kobieta, którą chciała wprowadzić na drogę życia innego, niż to, które pędziła, dała jej w uniesieniu uczucia kosztowny klejnot, złoty krzyż Św. Franciszki Salezego, a który dostał jej się prawem spadku wraz z autentycznymi dowodami pochodzenia. Uważała się za niegodną posiadania tej relikwii i oddała ją Joannie Franciszce, która w chwili zbliżającej się śmierci przyciskała krzyż do ust i modliła się do niego modlitwą swą ostatnią. Była silną, była wierzącą, ale rozstanie się z życiem, uchodzenie w zaświat nieznany, musi mieć zawsze swoje wzruszenia wstrząsające; doświadczała ich zapewne Joanna Franciszka, gdy oto kardynał Bonald znalazł się naraz przy łożu śmierci i nakazał umierającą, aby mu oddała za życia, to jest zaraz, relikwii tak jej drogą, że stygnące usta jeszcze ją czuły na sobie pragnęły. Biedna, chciała postawić opór głuchy, nie odpowiadała nic, ale czołwiek twardego serca nie poprzestał na tem. Gdy nie otrzymał czego żądał, wywarł na umierającą nacisk silniejszy: nakazał jej jako najwyższy kapłan dyecezyi, aby oddała mu relikwii, której miejsce powinno być w katedrze, a nie w kaplicy Kalwarytek. Po życiu tak wielkiego poświęcenia dla ludzkości ludzie powinni byli być dla niej tkliwymi choć u łoża śmierci, i gdy ona oddała im samą siebie od lat najpiękniejszego rozkwitu swej istoty, należało im poczekać choć na zamknięcie jej oczu z rzuceniem się jak na łup, na jedyną rzecz drogą, którą posiadać pragnęła do śmierci.

Umarła na drugi dzień po wydarciu jej krzyża; lecz dzieło, które wzniosła miało już podstawy tak silne, że nie upadło z jej śmiercią; impuls szlachetnego uczucia, wyszłego z jej piersi, rozbudził zapal innych serc kobiecych i stowarzyszenie Kalwarytek założyło dom drugi—filiją swoją w Paryżu. Wdowa Lechat, mająca wiele rysów charakteru Joanny Franciszki, jej wytrwałość w pracy, połączoną z łagodnością i dobrocią pełną słodyczy, zapragnęła wzniesić go tam po nieszczęściu wojny i okrutnych przejściach Komuny, ale ludzie byli zubożeni, umysły nie otrząsnęły się z pod ciężaru posępnych myśli i serca nawet były przez zbyt bolesne zatwardziały. Trzeba było poczekać nieco i dopiero w Grudniu r. 1874, wdowa Lechat, dobrawszy sobie do pomocy cztery równie poświęcone towarzyszkę, otworzyła zakład Kalwarytek na odległym, prawie pustem jeszcze przedmieściu Paryża, w cyrkule jego XV, tam gdzie niedawno jeszcze rozciągała się równina Grenelle. Jak szybko ta święta instytucja rozwijała się na gruncie paryżkim, dość powiedzieć, że w przeciągu jednego roku liczba pań stowarzyszonych z pięciu doszła do 246-ciu.

(Dokończenie nastąpi).

NA POLESIU

POWIEŚĆ

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— A to mi dopiero łaska! Ty będziesz grabiną, a ja leśniczym na kiepskiej pensyjce!

— Mój ojciec—ja ani tego nie mam nawet, co wam ofiaruje hrabia. Jestem sługą, niczego od niego nie żądam. Wiem, że się ze mną nie ożenił dla czego innego, tylko, aby się od rodziny uwolnić.

Wola wasza, kochany ojciec, albo przyjmiecie co mam—lub...

— Lub co?—przerwał Sumak.

— Ja nie wiem co zechcecie począć. Przechodzę siły moje uczynić więcej. Matkę z siostrą biorę do siebie, aby w lepszym bycie zdrowie matki wróciło, a Marcysia się czegoś nauczyła przy mnie.

Nadzieja może uwolnienia się od ciężaru utrzymania domu, i od nieszczęśliwej kobiety, zawsze prawie napilej i chorej, trochę pana Dyonizego ukolysała.

Począł, chodząc po izbie, narzekać na ludzi, na niewdzięczność hrabiego, na córkę; ale czuć było, że się już opierać nie potrafi.

Stenka dodała tylko, że na podróż i pierwsze kosztą, gotową jest dać ojcu co może. Dyonizy nie protestował już.

Chciał potem widzieć się sam z hrabią, ale przystępu do niego Stenka odmówiła stanowczo; ani groźby, ani narzekania nie mogły nic; biedne dziewczę płakało, ocierało łzy, lecz powtarzało: że co postanowione, tego zmienić nie może.

Sumak do wieczora jeszcze próbował coś więcej zyskać i, grubiańsko córkę pożegnawszy, po wzięciu pieniędzy—odjechał.

Stenka całą noc przeplakała, a Dyonizy w kącie pił z diaczką do rana.

Było lato. W Skomorowie nieznacznie wiele się zmieniło rzeczy, lecz hrabia Kwiryn, który powinien był już powstać z łóżka i któremu obiecywano uleczenie deleko prędsze—leżał jeszcze.

Doktor Sochor robił mu zawsze nadzieję, że rychło się ruszy, jeżeli nie o swej sile, to choć o kulach, ale sam on nie wiedział już na czym się skończy choroba. Wcale nieprzewidywane komplikacje, nietylko zrosnięcie się kości opóźniały, ale całemu stanowi zdrowia Kwiryna grozić się zdawało.

Przez długie lata, zapalczywy gospodarz, w tym wilgotnym i chłodnym kraju, wśród lasów, nie zważając na nic, spędzał nieraz noce pod gołym niebem, całe dnie na chłodzie i słotach. Jak wszyscy mieszkańcy tutejsi, był nekany artrytycznymi bólami, do nich się przyłączyło cierpienie wątrobowe, a gdy z tem wszystkiem złamania kurować przyszło—Sochor postrzegł, że siły hrabiego mogą nie podoląć kuracyi.

Doktor niby wypadkiem przejeżdżającego z Łucka kolegę wezwał do konsultacji. Hrabia się łatwo dorozumiał, iż Sochor nie ufał sobie i chciał się oświecić; przeczul niebezpieczeństwo, ale nie dał tego poznać po sobie.

Miał tyle meztwa, że z przybyłymi konsyliarzami żartował i starał się być w jaknajlepszym humorze. Drugi konsyliarz wezwany, potwierdził diagnozę Sochora; powiedział mu nawet, że przyjdzie do zdrowia Kwiryna za cud-by uważał.

Złamania powolnie się zrastały, ale osłabienie wycieńczenie, powiększało. Hrabia wychudł i postarzał straszliwie, włos mu prawie zupełnie posiwiał.

Stenka z trwogą patrzyła na to, i, choć jej nie mówiono, domyślała się już niebezpieczeństwa. Żał jej było człowieka, który daleko lepszym okazywał się dla niej, niż się spodziewała. Przywiązała się do niego sercem kobiety, które wdzięcznem jest za to, gdy komu służyć może. Musiała też myśleć o przyszłości, a wszyscy jej bez ogródek prorokowali, że po śmierci hrabiego familia wygna ją, tak ubogą, jak przyszła.

Matka, dla której znaleziono mieszkanie w Skomorowie, była przy córce od zimy. Dzięki doktorowi Sochorowi stan jej zdrowia się polepszył; pilnowano, aby nie mogła zapijać się jak dawniej; miała wygody wszelkie, tyranizowała córkę, — lecz z poprawą bytu, obyczaj jej cokolwiek się zmieniły na lepsze.

Stenka znosiła z pokorą wymówki, starała się jej życie osłodzić, a całą pracę i wolny czas obróciła na wychowanie najmłodszej siostry. Dziewczyna była rozwyrzona, zuchwała, zepsuta, ale tak zdolna jak Stenka. Nadzieja „wyjścia na ludzi“ dała jej ochotę do nauki i oglądę.

Wpływ siostry na nią, z którego się w początkach wyłamywała, rósł z dniem każdym. Nie odrywano jej od matki, ale tu też ona nadzwyczaj była użyteczną, wbrew się jej stawiając i nieopuszczając, aby się zapijała.

Stenka musiała nieustannie albo być u łóżka hrabiego, który się bez niej obejść nie mógł, lub przy siostrze i matce. W tej pracy i troskach nieustannych, biedna kobieta wyrabiała nowe siły. Piękność jej straciła może na tym niepokoju i braku spoczynku, lecz dusza i serce zyskały.

Charakter hartował się jak w ogniu. Hrabia Kwiryn zawsze był dla niej pobłażającym, łagodnym dosyć, ale nie mógł przestać być sobą.

Bywał drobnostkowym, nudnym, podejrzliwym. Zdawało się, że tej szczerości i prostocie Stenki której codziennie miewał dowody—wierzyc mu się nie chciało. Probował zawsze, czy jej nie pochwyci na jakimś fałszu i podejściu.

Ze wszystkich tych podejrzeń i zasadzek Faustyna wychodziła zwyciężko.

Za próbę też jej charakteru i to poczytać było można, że o potrzebach Stenki zdawał się zupełnie zapominać. Łatała swe sukienki, obchodziła się starą bielizną, nigdy o nic nie poprosiła dla siebie.

Matka poprostu ją za to lajała.

— Gdy kogo Bóg chce ukarać, to mu rozum odejmie — powtarzała codziennie córce. Żeby też o sobie niepamiętać i nieupomnieć się o to co należy! Ten kutwa jednej sukieneczyny nie sprawił, pocziwego trzewika nie ma... A, uchoć Boże na niego śmierci — wyjdziemy ztąd o kiju... To człowiek taki, że sumienie go nie ruszy...

Stenka nic nie odpowiadała.

W inny sposób, delikatniej, oględniej doktor Sochor, który był świadkiem poświęcenia się kobiety, dawał jej do zrozumienia, iż o sobie by powinna pamiętać.

Faustyna najmocniejsze miała postanowienie o nic nie prosić i na los się zdać—jakikolwiek ją czekał. Oburzała się na samą myśl dopominania się o zapłatę.

— Nigdy w świecie!—powtarzała sobie w duchu.

Od przyjazdu drugiego lekarza, jakkolwiek Sochor starał się go wytłómaczyć tem, że kolega jego przejeżdżał tedy do Dąbrowy, gdzie mieszkała jakoby siostra jego, Kwiryn posmutniał i był więcej niż kiedy zamyslnym.

Za Stenką, krzątającą się ciągle około niego, chodził oczyma, zawiązywał z nią rozmowy dziwne często, pod pozorem interessów i śledził wrażenia.

— Wszyscy—śmy śmiertelni—mówił niekiedy—trzeba, żeby ludzie potem nie śmieli się rozpatrując w moich interessach... O! familijka się do tego weźmie gorliwie...

Nigdy Faustyna nie odpowiadała na podobne wybryki i nie zdawała się zważać na nie. Starala się wszelkie smutne myśli odpędzić.

Godzinami jednak niekiedy trzymał ją, rozkazując dobywać inwentarze, dokumenta, rejestra,

jakgdyby ją chciał ze stanem swoim majątkowym oswoić.

Milcząco, posłusznie naówczas słuchała, odpowiadała, rachowała, lecz nie przywiązywała do tego innej wagi, tylko—aby mu usłużyła i rozerwała go.

Sierpień już nadchodził, a upały letnie stanu chorego nie polepszyły wcale, artrytyczne cierpienia przenosiły się z miejsca na miejsce, ale nie ustawały.

Jednego wieczora Stenka wyszła odetchnąć powietrzem świeżem na ganek, gdy w bramie zobaczyła bardzo elegancko ubraną kobietę, nieznaną, jak się jej zdawało, która jej znaki parasolikiem dawała.

Podeszła, zdziwiona, i poznała w niej Esterę. Przybywszy do ojca, który zaniemógł, dawna protektorka i przyjaciółka nie mogła się oprzeć chęci zobaczenia się ze Stenką.

Wiedziała z powieści, które po Wołchowiczach krążyły, i przez doktora Sochora, co się z nią działo, ale to jej nie starczyło: naocznie się przekonać chciała.

Zobaczywszy Stenkę w starej sukience, znanej z Warszawy, bladą, zmizerniałą, w tym dworze strasznym z opuszczenia i zaniedbania, Ester ledwie się od łez mogła wstrzymać.

Uściskały się w milczeniu.

— Ale gdzież i jak ja przyjmę ciębie?—zawołała, ręce łamiąc, Stenka. — My tu na wsi... hrabia chory i tak strasznie chory oddawna... Wstyd mi doprawdy... Tyś do swoich świetnych salonów przywykła...

— Zmiłuj się, niezapominaj — odparła Ester, zmuszając się do wesołości — że ja młodość moję przeżyłam po większej części w Wołchowiczach, gdzie mi prosta wódka i dziegieć pachniały dniami i nocą.

Chodźmy...

Rumieniła się Stenka, prowadząc przyjaciółkę. Ester rozpatrywała się bacznie.

— Być—że to może, aby hrabia tak był bogaty, jak mój ojciec powiada — spytała — a mieszkał w takim domu!...

— On powiada, że właśnie to go bogatym uczyniło — odpowiedziała Stenka. — Nawyk do tego mieszkania i życia i, wierz mi, inne-by mu [było] nieznosnym ciężarem.

Ester weszła do biednych izdebek Stenki, w których nie było najmniejszej rzeczy, fraszki — sprzętu—dla fantazyi i przyjemności, dla zabawienia oczów i oderwania myśli od rzeczywistości: wszystko stare, zbrukane, smutne, pospolite. Na tem tle najpiękniejsza kobieta, najidealniejsza istota, ubrana tak, jak Stenka, w wyszarzaną i trochę połataną sukienkę—musiała wiele stracić ze swego wdzięku. Oprócz tego cierpienie, niepokój, jakim ją nabawiał stan zdrowia hrabiego, matka i siostra, nieustająca praca, prawie bez spoczynku, przybiły tę istotę, siłą tylko męźnej woli trzymającą się na tem stanowisku obowiązku, na którym oprócz własnego sumienia głosu, żadnej nie miała pociechy.

Ciągle czuwanie nad chorym, nał matką wymagającą i narzekającą na niewolę, bezsenne noce, pokarm ladajaki, zapomnienie o sobie—wycieńczyły Stenkę, na której widok, po przypatrzeniu się jej oczom zapadłym i przezroczyściej bladej cerze, Estera doznawała uczucia, raczej oburzenia na tę tyranię losu, niż litości.

— Ależ oni cię tu zamęczą!—zawołała do Stenki. —Przejrzyj się w zwierciadle. Zmizerniałas, schudłas, musisz być chorą. Nie wytrzymasz w końcu. Powinnas myśleć o sobie.

Faustyna uśmiechnęła się gorzko.

— Alboż ja komu na co byłabym potrzebna, gdybym się nie wysługiwała? — odezwiała się pocichu. — Nie jest mi tak źle ani nieznosnie, jak sądzisz. Nie mam czasu myśleć i pieścić się.

Domawiała tych słów, gdy ją zawołano do hrabiego; musiała przeprosić Esterę i wyszła.

Antek już doniósł hrabiemu o przybyciu jakiejs bardzo strojnej pani. Hrabia był niespokojny. Wchodzącą powitał groźnie.

— Cóż to za gość?

— Moja dawna znajoma, Estera, córka Borucha.

— Wystrojona, słyszę, jak lalka—dodał hrabia marszcząc się.—Po to przybyła, aby rozpowiadała, że tu nędza i niechlujstwo. Na co ją zapraszać było?

— Ja, anim o niej wiedziała, ani zapraszała—odparła Stenka—i pośpieszę do niej, aby...

Kwiryn ręką zamachnął.

— Szpiegów w domu nie lubię—dodał.

— Ona mi jest życzliwą, a nie zobaczy tu przecież nic nad to, że mi jest dobrze i—że ja się nigdy nie skarżę na nic.

— Dobrze, dobrze—zamruczał hrabia—zabaw się z nią i niech jedzie. Żydówka sobie tony daje i odwiedza...

— Panie hrabio—przerwała Stenka z uczuciem, gdy ja chodziłam boso, ona jedna litość miała nademną.

— Jedna?—a ja?—odparł hrabia i poruszył się. Dał znak, aby odeszła.

Stenka powróciła zmieszana. W pokoju siedziała nieodstępna Pakulska, przy której poufnie się rozmówić nie było można. Estera szepnęła, że mogłyby wyjść do ogrodu.

Niestety, to co się w Skomorowie nazywało ogrodem, było zasadzone cybulą, marchwią, ogórkami, warzywem i biednymi krzakami agrestu i malin. Ścieżki pomiędzy kwaterami, waziuchne, wydeptały nogi dziewcząt, które tu codziennie na kuchnię coś brać przychodziły, lub ziele dla krów wycinały.

Jedyną ozdobą były przypadkiem wyrosłe maki i kilka wybujałych słoneczników. Hrabia nie rozumiał ogrodu dla oka i przyjemności. Dla niego las go zastępował.

Estera czuła instynktowo, że długo jej tu pozostać nie będzie wolno. Zaledwie wyszły w ogródek, zwróciła się do Stenki:

— Moja kochana—rzekła—po starej naszej dobrej znajomości—ja ci powinienam powiedzieć prawdę.

Doktor Sochor podobno pewien nie jest, czy męża twego uleczy. Powinnaś myśleć o sobie. Cóż będzie, jeżeli...

Stenka z oczyma wlepionymi w ziemię stała.

— Nie mówmy o tem—rzekła—nie potrafię myśleć o sobie. Co ze mną będzie?—nie wiem. Matki, ojca, siostry los mnie obchodzi. A ja...

— Zapomniałaś więc—przerwała Estera—że jest ktoś, komu jesteś drogą, kto do ciebie wdycha?!

Zarumieniona Stenka podniosła oczy zdziwione.

— Widziałam go przed wyjazdem z Warszawy—dodała Estera.—Mówił mi o tobie; żyje tą myślą.

Trwożliwie się oglądając, Faustyna usta jej zamknęła.

— I o tem nie mówmy—odezwiała się—myśleć mi nie wolno, spodziewać się nie umiem.

Wskazała jej na palcu pierścione.

— Co mu mam powiedzieć?—spytała natarczywie Estera.

— Że mu życzę szczęścia—rzekła głosem drżącym Stenka—że mu jestem wdzięczną, bo w mojej duszy zaszczerpił wiarę, iż największym szczęściem jest spełnienie obowiązku. Rozmowom z nim, wpływowi jego winną jestem, że ze spokojem w duszy idę cierniową drogą życia i—bólu nie czuję.

Powiedz mu, że wdzięczna uczennica do zgonu o nim będzie pamiętać.

Natychmiast zwróciła Faustyna rozmowę na inny przedmiot, aby stłumić wrażenie, jakie na niej uczyniło wspomnienie Wolskiego.

Sciemniać się zaczęło, gdy Estera ją pożegnała. Wprost z ogrodu musiała biec do hrabiego, na swe strażnicze stanowisko.

Kwiryn już nie wspominał o gościu, nie rozpytywał, ale był podrażniony i niecierpliwy. Potrzeba mu było posługiwać; zatrzymał Stenkę

przy sobie, odejść jej nie dawał, zdawał się chcieć poznać z twarzy jej, jakie wrażenie rozmowa z Esterą zostawiła po sobie: zmusiła się więc Faustyna, aby okazać się swobodną i niezmienną.

Wistocie, kilka tych słów, które z sobą przywiozła Estera i dla nich może tu przybyła, poruszyły do głębi biedną kobietę, przypomniały jej kradzione godziny rozmów z Wolskim, człowieka tego, któremu winna była wszystko, i który—jeden na świecie, kochał ją dla niej samej.

Cichych łez parę otarła, bo na rozczulanie się nad własnym losem nie miała czasu. Obowiązkiem córki, siostry i opiekunki przy łóżku chorego zmuszona służyć dzień cały.

Oprócz tego—hrabia tak wszystko dziwnie zdał na nią, że mu z kupującymi, targującymi się, płacącymi musiała ciągle być pomocą. Tam nawet, gdzie sam łatwo mógł podolać, wzywał ją, bo chciał, aby wiedziała o wszystkim, aby jej nie obcem nie było.

Przy tych targach i kontraktach, które ona w imieniu jego podpisywać musiała, Kwiryn dawał nauki, przestrogi, nudził ją tysiącem szczegółów, jakby chciał wyczerzyć tego, czego doświadczenie nauczyło jego samego w ciągu lat wielu.

Dnia tego, zmęczona więcej niż kiedy, Stenka odeszła z bólem głowy do swego mieszkania. Hrabia widział ją kilka razy, mimowolnie chwytając się za głowę—i zapowiedział surowo, aby nie ważyła się w nocy wstawać, a nazajutrz była wypoczętą i zdrową.

Było we zwyczaj, że młoda pani, nie spuszczała się na felczera i Antka, kilka razy przez noc przychodziła pocichu dowiadywać się do chorego, czy mu czego nie potrzeba.

— Proszę—z dziś nie wstawać—rzekł Kwiryn do odchodzącej—bo się pogniewam. Żądam posłuszeństwa.

Takiemu rozkazowi opierać się nie było wolno. Stenka rada była może, iż spocznie a wypłacie się pocichu.

Antek z chłopcem, czujniejszym niż on, był na straży.

Około północy, gdy spał w najlepsze, hrabia pocichu kazał go chłopakowi obudzić.

— Pójdź tu—rzekł—ręką mu znak dając. Tu bliżej. Nachyl się.

Stary był posłusznym.

— Chcesz sobie zarobić, abym ci nie pamiętał wszystkich twoich szelmowstw?—spytał Kwiryn pocichu.

— Jakich szelmowstw?—odparł Antek.

— No—porachuj się z sumieniem—mówił Kwiryn—teraz ci ich wyliczać nie pora. Słuchaj i zrób co do litery, jak ci każę.

Bardzo ciekawie Antek ucha nastawił.

— Jak mi piśniesz słowo, jak się kto dowie o tem, co ci zwierzę, tak mi Boże dopomóż—psami cię wyszczuję!

Antek się począł oburzać.

— No, słuchaj i milcz.

Weź, nie ze dworu, ale u Parasiuka konie i jedź mi zaraz do Łucka. We dworze powiesz, żeś się wyprosił na moję intencją do Najsw. Panny u Dominikanów—rozumiesz. Żeby nikt nie wiedział, że ja cię posłałam. W Łucku zajedziesz wprost do Trzaskowskiego, powiesz mu, żeby do mnie natychmiast przyjechał, a papieru stemplowego przywiozł. Trzaskowski też, jeśli piśnie, że u mnie był, to...

Kwiryn się namyslać zaczął, czem zagrozić, gdy Antek rzekł:

— Trzaskowski nie ma długiego języka.

— Milcz, trutniu—ciągnął dalej hrabia.—Trzaskowski, żeby mi ani do dworu, ani do karczmy nie zajeżdżał. Zrób tak, aby go nikt nie widział. Najlepiej go przywieź nocą i mnie obudź.

Stary kiwając głową, rozkazów słuchał. Domyslił się, że Kwiryn chciał zrobić jakieś rozporządzenie. Udał rozczulonego, a wistocie też może pana mu żal było, pocałował go w rękę, uderzył się w piersi, podniósł oczy ku niebu, biorąc je za świadka swej gorliwości, do spełnienia rozkazów i—wymknął się.

Trzaskowski ów, którego hrabia chciał mieć tak tajemniczo u siebie, był adwokatem. Człowiek w dorobku, sprytny jak ogień, nie nazbyt skrupulatny, gdy szło u usłużenie klientom—równie chciwie się dopracowywał grosza i sławy.

Znał go Kwiryn i przekładał nad innych, dlatego może, iż nie potrzebował z nim żadnej robić ceremonii. Łajał go: on znosił śmiejąc się połajania; targował się do upadłego, on nie brał tego za złe. Wierzył też Kwiryn w jego znajomość prawa i przebiegłość. Umiał Trzaskowski zawsze znaleźć jakiś paragraf, którego mu było potrzeba. Słyszał z tego.

Nazajutrz, gdy Antka nie stało, opowiadano, że z czułości i przywiązania do pana, ofiarował się do cudownego obrazu na intencją jego.

Sam Kwiryn przed Stenką tym sposobem nieobecność jego wytłómaczył.

Podróż starego sługi z powodu nieprzewidzianych przeszkód i niebytności w domu Trzaskowskiego, którego trudno znaleźć było—tak wiele miał interesów i rozchwytywali go wszyscy—przeciągnęła się dłużej, niż hrabia rachował.

Jednego wieczora zjawił się wreszcie, czerwony, zmęczony, wódkę od niego czuć było. Hrabia przy Steńce połajał go za to, że się po drodze bałamucił, niespiesząc z powrotem. Zarazem znalazł pretext zabronić tej nocy dowiadywać się Steńce do siebie. Rozkazał spać i zapowiedział, że, choćby przyszła, drzwi każe zamknąć i nie puścić jej.

Gdy się we dworze uspokoiło i światła pogasły, Antek ze swojego mieszkania wyprowadził, zamkniętego w niem, prawnika, i z nadzwyczajnymi ostrożnościami, przeprowadził do sypialni Kwiryna. Natychmiast hrabia kazał pozapuszczać firanki, pozamykać okiennice, drzwi na klucz, i został sam z Trzaskowskim.

Antek, napróżno spodziewał się, że cokolwiek bądź będzie mógł podsłuchać. Przykładając ucho do zamku, chwytając szmer rozmowy, potem skrzyknięcie pióra po papierze, potem znowu głosy jakiegoś—i już prawie dniało, gdy się konferencya skończyła szelestem papierów.

Trzaskowski wyszedł, dostarczono mu koni, i—jak niewidziany przybył, tak niepostrzeżony—odjechał.

Antek, wchodząc potem rano do sypialni, uczuł mocny zapach laku i otworzył okno, obawiając się, aby to jakich podejrzeń nie obudziło.

Gdy potem Stenka weszła do chorego, znalazła go w tem usposobieniu dziwnem, w jakim znalazła go tylko naówczas, gdy mu się złośliwego figla wypłatać udało, pochwycić na uczynku kogo, zawstydzić i t. p.

Wiedziała, że humor ten, nigdy mu nie przychodził bez przyczyny, a tymrazem nie mogła odgadnąć, co go wprawiło w taką wesołość przykrą, szyderską, nielitościwą.

Odbijała ona dziwnie od coraz większego wychudzenia i zmizerowania hrabiego, od zapadłych policzków, kaszlu, który go niekiedy tak męczył, że krzyczał z bólu i niecierpliwiać się ręką tłukł o łóżko.

— Doktor zawsze zaleca jaknajwiększą spokojność—odezwiała się do niego—a hrabia nie wiem, czem jesteś poirytowany.

— Doktor jeden i drugi, osły—odparł bez ceremonii Kwiryn.—Co oni wiedzą albo umieją? Jak im natura nie pomoże—nie zrobią nic.

Im, aby tylko dłużej chorego trzymać.

— Ale doktor—Sochor!—stając w obronie jego, odezwiała się Stenka.

— Kubek w kubek taki, jak i drudzy—rzekł hrabia. Dobry człowiek, nawet i nie łże jak inni—ale co on zna i wie? Żeby mnie baby kurowały, już-bym albo zdrow był, albo-by się wszystko skończyło.

— Doktor Sochor...—wtrąciła jeszcze raz Stenka.

— No, bróń go sobie—rzekł hrabia—a ja co wiem, to wiem.

— Hrabia go nie słuchasz!

— Bo nie mogę—zawołał chory.—Kazać czło-

wiekowi być spokojnym, tożsamo znaczy, co dysponować, aby szczęśliwym był. Niech-że da na to receptę! Ktoby nie chciał być spokojnym?

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Czerwca 1883 r.

Ciężkie dni—Kraszewski; powrót z Francji i uwięzienie. — Hr. Andrzej Mnischek i ostatni portret nestora. — Godebski i popiersie. — Andriolli i paryzkie ilustracje. — Uczenie pamiętki pobytu Kraszewskiego we Francji w 1883 roku. — Tutejsi wirtuozi pióra: Renan i jego wspomnienia młodości. — Wiktor Hugo i tom V *Legendy wieków*. — Jeszcze pani Adamowa (Julietta Lamber), i nowa jej powieść *Poganka*. — Poświęcenie i tego dosyć. — *Panna du Vigean*, nowa komedia w jednym akcie, przez paupę Armand, w Teatrze Francuzkim. — Epilog starej anarchistycznej komedii. — Sąd i wyrok na Ludwiku Michel. — Wystawa ikonograficzna. — J. J. Rousseau.

Ciężka dotknęła nas boleść — a spadło to na nas, mówiąc słowy Bohdana Zaleskiego, jak piorun z czystego nieba! Wicie już zapewne, o smutnym wypadku Kraszewskiego: nie chcę się tu nad tem rozwodzić; bo nie czas jeszcze wchodzić we wszystkie szczegóły tej katastrofy. Jest to prawdziwa klęska dla wszystkich.

Byliśmy zbyt szczęśliwi, zbyt radzi: po kilkotygodniowym pobycie w Pau wracał nam drogi nasz nestor, a choć niezmiernie znużony, choć w stanie krytycznym zdrowia; przecież nam wracał, i to już było prawdziwym szczęściem dla nas. Chcieliśmy go tu ucieść, według zasługi i według naszej wielkiej miłości; ucieść, jak jemu i nam przystało, zatrzymując na wieczną pamięć rysy jego oblicza. Wzięliśmy się do dzieła i w kilka dni stało się zadość naszemu żądaniu, dzięki umiejętnej a serdecznej pomocy znakomitych naszych artystów.

P. Hr. Andrzej Mnischek, którego pędzla znakomity portret kardynała Czackiego oglądaliście niedawno na waszej wystawie, zrobił piękny i mistrzowski portret Kraszewskiego. Jest to najlepszy z tych wszystkich, jakie malowano kiedy — nie mówię już o samem wielkiem podobieństwie, które jest uderzające, ale i o charakterze tej pięknej, wyrazistej twarzy. Jest on tu ustalony na płótnie, a raczej na desce — bo portret malowany na drzewie — z tą doskonałością pędzla, które jest zaletą, tego prawdziwie malarza naszego. Możemy z chlubą powiedzieć „naszego malarza“, o tym, kto z miłości do sztuki stał się pierwszorzędnym artystą.

Spokój i pogoda panują tu, nietylko na rozumem, myślącem czołem wielkiego pisarza, lecz i w całym obrazie. To rzadkie dziś odbłyśki, wśród ciągłych i bezustannych cierpień fizycznych, morderczych to wątle ciało; są to jakby chwilowe zawieszenia broni z chorobą. Są to prawdziwie te chwile natchnienia, pod ich to potężnym wpływem, transfigurują się rysy twarzy tego potężnego twórcy i widać, widać wyraźnie, że bóstwo zstępuje do tej pięknej duszy. Otóż te odbłyśki, te chwile potrafił schwycić biegły artysta i zatrzymać swym pędzlem. W tym uśmiechu jakby słodkiej ironii, w tem spojrzeniu przenikliwym a rozumem, a tak pełnem łagodności i współczucia — jest Kraszewski.

Jest on tu w postawie spokojnego rozmyślenia, jakby poetycznej zadumy. Długa i piękna broda ściele się na ciemnej o szerokich fałdach zimowej czamarze z potrzebami, zpod której wyglądają ciepłe sobolki. Nic tu nie trwoży uwagi, nic nie odciąga uczucia; pieści ono miłostnie to drogie oblicze i to pieszczotą osłania, otacza, ochrania poważnego Nestora Polskich Pisarzy.

Niedosyć nam było poprzestać na tym portrecie, który jest przeznaczony dla samego Kraszewskiego: chcieliśmy jeszcze, aby i publiczność polska, te pokolenia całe, które on swemi pismami wyczytał, oświecił i ogrzał, mogły skorzystać z naszej żądzy i sposobności rzadkiej, ustalenia tych drogich rysów. Udał się więc do jednego

z naszych najbieglejszych rzeźbiarzy, p. Cypryana Godebskiego, i ten z dobrą, gorącą i patriotyczną gotowością służenia powszechnej sprawie, wykonał z niesłychanym pośpiechem, bo w dwóch zaledwie posiedzeniach, wspaniałe popiersie z gliny, śpiewaka *Anachielas*!

Nie chcę się tu rozwodzić nad pięknoscią i zaletami tego dzieła, bo znakomity talent rzeźbiarza jest najlepszą rękojmią jego doskonałości; powiem tylko, że, jak w portrecie hr. Mnischega, tak w tem popiersiu p. Godebskiego, podobieństwo i charakter panują nad wszystkim. Nie jest to wcale jedno z tych dzieł, gdzie sprawa dłuta rzeźbiarza i biegłość jego ręki przodkują innym zaletom; jest to popiersie, posąg pojęty i wykonany w sposób jak sobie poczynali rzeźbiarze starożytnej Grecji; kiedy duszę i życie czarodziejską potęgą swojego artyzmu potrafili zamykać w zimnych marmurach. Popiersie to, wykonane, jak mówiłem, z gliny, w rozmiarach większych trochę niż sama natura, posłuży do wykonania redukcji: bronzowych, marmurowych i glinianych (*terra cotta*), mogących się rozpowszechnić łatwo i stać się własnością każdego.

A na koniec, aby dopełnić miary, znakomity nasz rysownik Andriolli wykonał na drzewie śliczny portret Kraszewskiego, który umieszczony w jednym z pierwszych tutejszych ilustrowanych dzienników, w *Le Monde illustré*, ukazał się na świat, właśnie w tej chwili, z krótkim życiorysem naszego mistrza.

Jak tu pisać, jak tu układać kronikarskie opowiadanie, kiedy serce zamiera w piersi? A przecież, naprzód! naprzód! woła i obowiązek i rozum, a więc idźmy!...

Wszak, oto, dla rozpędzenia czarnych i pośpychających myśli, mamy dwóch wirtuozów pióra; pokazują nam oni raz jeszcze, co to może człowiek obdarzony szczególnym talentem. zużytkowania tego narzędzia, wyrwanego ze skrzydła najgłupszego z naszych domowych ptaków.

Dawniej już, z powodu rozmaitych części wielkiego dzieła *Początki chrystianizmu*, z powodu książeczki poświęconej wspomnieniom ukochanej siostry i z powodu nowelli, a raczej wiejskiej obrazka z głębokiej Bretanii, pod tytułem: *Siepacz lnu* (*Le broyeur de lin*); mówiłem już czytelnikom moim o zaletach pisarza, którym jest pan Renan. Dziś daje nam on, pewien rodzaj *Autobiografii*, po wiadom pewien rodzaj, bo z takim stylistą jak p. Renan, zawsze można się spodziewać, że i najmniejszy wypadek i najczystsza prawda, potrafi tak przystroić i ukwiecić, że się wyda, czemś nadzwyczajnym, a przynajmniej nad wszelki wyraz pończotnym.

Zresztą, on sam powie nam najlepiej, jak go należy uważać i sądzić, jako pisarza. Najwłaściwiej zatem: pójsz zaraz do książki i posłuchaj samego autora. Nowa książka p. Renana ma za tytuł: *Wspomnienia z lat dziecińczych i młodości* (*Souvenirs d'enfance et de jeunesse*). Z powodu tych wspomnień, autor jakby znużony pielgrzym, zwraca się wstecz; spokojnem okiem przebiega daleko, daleko wijącą się drogę, po której zdążył aż do tej wyżyny, na której wypoczywa w tej chwili — i szczerą a umiejętną ręką rozrzuca myśli i uwagi o tej przeszłości człowieka, pełnego dziś doświadczenia i życia.

Ten sposób traktowania podobnego przedmiotu wykazuje niezmierny artyzm wytrawnego pisarza, a niesłychany wdzięk stylu podnosi jeszcze zalety takiego opracowania, tych drobnych i tak mało znaczących zdzidełek, z jakich się składa pierwsza młodość, choćby i największego człowieka.

Jest to metoda właściwa zresztą temu pisarzowi. Natura ciekawa i myśląca p. Renana zaznać się zaraz na początku w jego życiu od pierwszej młodości; a później spotęgowała się w jego wszystkich dziełach. Ona to go popchnęła ongi do zwłeczenia zaciasnej trochę sutanny, dla zbyt krnąbrnego usposobienia nowicyusza — i utworzyła zeń później pisarza, któremu, aby został genialnym twórcą, brakło zawsze dwóch rzeczy: miłości i wiary...

Zwątpienie i ciekawość: oto punkt wyjścia. Ażeby im zadość uczynić i nasycić tego Minotaura, który mu się rozsiadł w duszy, p. Renan każdą prawdę i uczucie poddał pod nieublagane cięcie

noża swej krytyki. Jak sam powiada, zwałił, ni by drugi Tytan, Osse na Pelion, wydobył ze swej czaszki całe skarby obszernej erudycji na poparcie zwątpienia — i napisał tyle znakomitych dzieł, które zostaną jako świadectwo i wskazówka tej olbrzymiej drogi podziemnej, po której się przesunął ten zadziwiający termita nauki. Zaczawszy od życia Chrystusa, aż do tej ostatniej książki, zawsze i wszędzie, przeczył on wbrew wszystkiemu, co było oparte na podaniu, objawieniu, wierze; zaprzeczył samemu sobie nawet — ale nic na to miejsce nie stworzył...

Jeżeli pisma Renana były i są po dziś dzień skwapliwie chwytnie przez publiczność, to dzięki — jak mówiłem — niesłychanemu czarowi jego stylu; tej jego szczególnej, wybitnej własności, temu najświetniejszemu przymiotowi, jako pisarza. Styl ten, ten wdzięk nad wdzięk jest to tryumf, ale zarazem i szkopuł Renana; czas bowiem zetrze zeń ten leciuchny meszek, ten złocisty pyłek — znikną te świetne odbłyśki mamiące nas dzisiaj; zwiędną te jasne kwiaty; zestarzeją się delikatne rysy: zostanie spłowiała tkanina — i przyszość z zadziwieniem szukać będzie powodu, tak wielkiej wziętości pisarza, który nic nie stworzył, chociaż do wszystkiego się dotknął.

Ale tymczasem, jako majsterstwo stylu, jest on niezrównany w swym fachu. Weźmy na przykład przedmowę tylko tych *Wspomnień młodości*. Zaraz na pierwszej kartce spotykamy pisarza, co niezwykłym sposobem bierze się do rzeczy. Zatrzymany na spokojne wody upłynionej młodości, rzuca swą wędę w ich głębie i wynosi z tej toni, starą Bretońską Legendę, przypominającą, rzecz dziwna, nasze przedhistoryczne podanie.

„Jedna z najbardziej rozpowszechnionych legend w Bretanii, powiada, jest owa o tem mniemanem mieście *Is*, pochłoniętem w morzu, w odległej, nieznanej epoce. Pokazują do dziś dnia, w rozmaitych stronach wybrzeży, szczątki tego tajemniczego grodu, i rybacy miejscowi dziwne o tem opowiadają ci rzeczy. W czasie potężnej burzy, powiadają, widać w głębi rozścielonej burzy wierchołki świątyni i kościołów — a w dniach spokojnych, słychać, jak z głębi wód, podnosi się dźwięk dzwonów, zwołujących wiernych na modlitwę.

„I mnie się też często zdaje, jak gdyby w głębi serca mojego, było to jakieś miasto *Is* — i słyszę jego dzwony, zwołujące upornie na modlitwę wiernych, którzy niestety! już tych dźwięków niesłyszą. Zatrzymuję się czasem nagle, i nadstawiam ucha na te drżące dźwięki, które zdają się płynąć z niesłychanej głębi, jakby głosy z innego świata. Pod starość szczególnie, miło mi jest, w czasie letniego spoczynku łowić łakomem uchem te dalekie głosy znikłej Atlantydy...”

A co? czyż nie mówiłem, że to niezrównany wirtuoz! a ta legenda, czyż nie przypomina wam owej naszej o Julinie czy Winecie, z Adama Breteńskiego, albo z Helmolda? Ale rzućmy okiem na to, co Renan powiada o sobie samym w tej przedmowie:

„W pismach moich — to są jego słowa — byłem absolutnie szczery. Nietylko nie powiedziałem nigdy nic innego nad to, co myślałem; ale, rzecz nierównie rzadsza i trudniejsza, zwykłe mówię *wszystko* co myślę. W ustnej jednak rozmowie lub w korespondencji, nieraz mi się zdarza być słabym nad miarę... Nie mogę się prawie utrzymać — i z wyjątkami małej liczby osób, z którymi czuję się być w pewnem umyślowem braterstwie, każdemu mówię to tylko, co mniemam mu być przyjemnem...”

„Nicoś moja wobec ludzi światowych przechodzi wszelkie pojęcie. Wyruszą naprzód w rozmowie, gmatwam się, brnę naoslep, i gubię się na koniec wśród niedorzeczności... Wskutek pewnego rodzaju niezbędnego postanowienia, skazany na niezmierną uprzejmość, na grzeczność *księżowską*, staram się ciągle i przedewszystkiem dowiedzieć: co człowiek rozmawiający ze mną, życzyłby sobie, aby mu powiedziano?... Gdy z kim rozmawiam, moja uwaga zwrócona jest, aby odgadnąć: co on myśli? i przez zbytek uprzejmości, staram się mu przysłużyć, ofiarując mu to naprzód... Wiąże się to u mnie z przekonaniem, iż mała jest liczba osób, tak obojętnych na własne

myśli, aby niebyć podrażnionymi, kiedy się im mówi rzeczy ich przekonaniu przeciwnie. Wyrażam się swobodnie z tymi jedynie ludźmi, o których wiem, że są obojętni na to, lub na owo—i że się trzymają na stanowisku, dobrotliwej, ogólnej ironii!

„Co do mojej korespondencji, będzie ona dla mnie wieczystą hańbą, jeśli ją ogłoszą kiedy po mojej śmierci. Napisać list—jest to dla mnie prawdziwa męka. Rozumiem, że człowiek udaje wirtuoza wobec dziesięciu lub tysiąca osób, ale wobec jednego!... Nim zaczął pisać list jaki, wałam się, rozmyślałam, robię plan świstka o czterech stronicach i częstokroć zasypiam nad nim...”

„Dosyć jest, spojrzeć na te listy, ciężko poplątane, powiązane niesforne, wśród nudów; ażeby zrozumieć, że to się pisało w jakimś półsennej odrętwieniu. Kiedy odczytuję to, com napisał, widzę dobrze, że to jest straszna słabizna, że tu wpakował mnóstwo rzeczy, których wcale nie byłem pewny. W desperacji pieczętuję list z tem przekonaniem, że coś okropnie nędznego rzucam na pocztę...”

Nie trzeba wszystkiemu wierzyć, co tu opiewa sam wielki wirtuoz. Jak mówiłem, tego rodzaju autobiografie, do których napisania nie wcale nie zmuszało autora, są to zawsze trochę pochlebione portrety. P. Renan mówiąc o sobie samym z taką surowością sądu, zdaje się uprzedzać innych w tym względzie, wybredniejszych ludzi, którzyby chcieli bliżej go poznać—i mówi do nich: „Dajcie pokój! Widzicie, jak ja sam siebie traktuję!... Nie wierzy. — Jest tu uniżenie gorsze od największej buty! Bądźmy więc ostrożni, co do tej spowiedzi, i nie zapominajmy, że p. Renan, zna się dobrze z literackim konfessyonałem, i że, jak sam to powiada, ma trochę księzowski zacięcia.”

To nie przeszkadza jednakże, że książka, o której rzecz chodzi, ma swoje rzeczywistą wartość—i że, rozpatrzywszy się i wybraawszy skrzętnie, można z tego dojść prawdy i poznać autora, jakim jest rzeczywiście, a nie—jakim chciał się nam pokazać...

(Dokończenie nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Czerwcu 1883 r.

Festyn ogrodowy na Strzelnicy Miejskiej. — Wycieczki do Drohowyża, Morszyńska, Oleska i Podhorzec. — Program obchodu jubileuszowego odsieczy wiedeńskiej. — Pomnik Sobieskiego, projektowany przez Radę Miejską. — Wycieczki konne. — Agitacje wyborcze. — Wybory do Sejmu i do Rady Miejskiej. — Nowy burmistrz. — Wystawa Sztuk Pięknych. — Obrazy Jacka Malczewskiego. — Sprawozdanie doroczne *Macierzy polskiej*. — Trzecie wydanie *Listów J. Słowackiego*. — Monografia profesora Szaraniewicza o starożytnym Haliczu i poszukiwania w tym przedmiocie. — Kommissya Wydziału Krajowego. — *Wspomnienia z nad Wilii i Niemna* i pisma rozmaite Edwarda Pawłowicza.

Jak miesiąc Maj, mówiąc językiem Wschodu, jest miesiącem „róży i słowika“, tak Czerwiec jest u nas miesiącem ogrodowych festynów i wycieczek. Spowszedniały w znacznej mierze rozmaite, używane naprzemian, sposoby zbierania funduszków na cele dobroczynne. Znudzili się tak niegdyś ponętne i często powtarzające się loterie fantowe, koncerty, nawet teatru amatorskie; festyn tylko ogrodowy zawsze jeszcze posiada urok, zgromadzający liczną publiczność, zwłaszcza, jeżeli zapowiadające zabawę afisz są łokciowej wielkości, a programat urozmaicony niespodziankami, z których niewszystkie zawsze się sprawdzają bo humbug amerykański, nie tylko za Oceanem, ale i u nas zaczyna coraz jaskrawiej rozszerzać swe panowanie. Od początku wiosny tegorocznej mieliśmy już kilka tego rodzaju festynów, z których najznamienitszy i pod względem dochodu najkorzystniejszy był urządzony pod protektorem pani namiestnikowej hr. Potockiej, festyn młodzieży akademickiej, na dochód „Stowarzyszenia bratniej pomocy akademików“, połączony z koncertem wokalo-instrumentalnym i teatrem amator-

skim na scenie ogrodowej, w cieniu drzew, pod gołym niebem, na Strzelnicy Miejskiej. Oprócz koncertu było tam wiele jeszcze innych niespodzianek, poczynawszy od wielbłąda i małp, zapożyczonych od przejeżdżającej właśnie przez Lwów menażeryi Kludskiego, galerii obrazów i t. p. Panie w kostiumach Szwajcarek roznosiły mleko pomiędzy spragnioną napoju i wrażeń publiczność. Słowem, nie brakło niczego, by dodać wdzięku i urozmaicenia zabawie. Pomimo tego wszystkiego, zdaje się jednak, że i epoka festynów jest na schyłku, a natomiast zaczynają wchodzić w zwyczaj dalsze wycieczki koleją, do miejsc godniejszych zwiedzenia i odznaczających się pamiątkami historycznymi.

Taką wycieczkę urządziło w bieżącym miesiącu towarzystwo „Rodzina“ do Drohowyża, której programmatu częścią główną stanowiło zwiedzenie tamtejszego Zakładu Sierot, fundacji s. p. hr. Skarbka, urządnego na taką stopę i tak wzorowo prowadzonego, że można go słusznie nazwać: chlubą kraju i zarodem świetnej przyszłości krajowego rękodzielnictwa. Piękny był to pomysł utworzenia zakładu, dostarczającego krajowi rokrocznie kilkudziesięciu doskonale wykształconych rękodzielników we wszystkich gałęziach rzemiosł. Galicya pod tym względem stała dotąd tak nisko, iż po większej części zaopatrywać musiała swe potrzeby wyrobami zagranicznymi. I próżne były ustawiczne skargi na wydawanie pieniędzy za granicę za wszystkie niemal przedmioty codziennego użytku, skoro wyroby krajowe nie dorównywały tamtym ani trwałością, ani dobrocią i ozdobnością. Ilekroć pieniądze naprzykład za samo obuwie zabierał od nas Wiedeń! Tam też potrzeba się było uciekać po narzędzia i maszyny rolnicze, wyroby blacharskie i t. p. Zakład w Drohowyżu zmienił całą postać rzeczy. Obecnie wyroby rękodzielnicze krajowe, przez rękodzielników wykształconych w tamtejszych warsztatach, będą mogły wytrzymać zwycięzko spółzawodnictwo z wszystkimi zagranicznymi. Przekonać się o tem mogli uczestnicy ostatniej wycieczki, obejrzaawszy wyrobione z podziwiania godną dokładnością w tutejszych kuźniach i pracowniach stolarskich i kołodziejskich wszelkiego rodzaju narzędzia i maszyny gospodarskie: pługi, żniwiarki, wozy doskonałe, wyroby ślusarskie i blacharskie i t. p. Radość i otucha przejmujące na widok tylu rąk pożytecznie zajętych, tylu pożytecznie kształcącej się młodzieży, uratowanej tym sposobem od smutnych następstw sierocego losu. Obecnie liczy zakład stu pięćdziesięciu chłopców sierot i sto dwadzieścia dziewcząt. Te pod okiem zakonnic uczą się gotować, prać, szyć i haftować. Pobyt w zakładzie tem chłopców jak dziewcząt trwa lat siedm. Pierwsze cztery lata zajmuje nauka w szkole ludowej, po której ukończeniu rozpoczyna się trzyletni okres nauki w warsztatach, w obranem rzemiośle. Z czasem, gdy dochody fundacji na to zezwola, ma tu być, według woli testatora, urządzony także zakład przytułku dla czterystu starców i kalek płci obojej, aby ci, co w pełni sił młodzieńczych rozpoczynali tu pracę zawód, mieli też w schyłku życia zapewnioną przystań spokojną, pod opiekunym dachem, gdy sił do pracy już braknie.

Z innych tegorocznych wycieczek godną wspomnienia jest zamierzona wycieczka do Morszyńska, świeżo przed kilku laty utworzonego zakładu kąpielowego, w pięknej górskiej okolicy, bogatej w lasy szpilkowe, tworzące przepyszną szereg krajobrazów; tudzież wycieczka do Podhorzec i Oleska.

W roku jubileuszowym odsieczy wiedeńskiej wszystko, coby się ściąga do dziejów Sobieskiego, więcej niż kiedykolwiek budzi zajęcie. Komitet jubileuszowy krząta się czynnie, aby obchód pamiątkowy był jakmożna najświetniejszy w całym kraju. I tutejsza Rada Miejska uchwaliła już programmat obchodu w mieście Lwowie. Zajmie on dwa dni, to jest 11 i 12 Września. Dzień pierwszy poświęcony będzie uroczystościom kościelnym i położeniu tablicy pamiątkowej na domu niegdyś Sobieskiego w rynku, będącym dziś własnością księcia Kalixta Poninskiego. Dnia drugiego będzie uroczystość jubileuszowa obchodzoną we wszystkich szkołach tutejszych, a po-

łudniu nastąpi umieszczenie tablicy pamiątkowej, na wysokim zamku na kolumnie postawionej od strony Zniesienia, na którego rozległych płaszczyznach Sobieski zniósł Turków i Tatarów, dążących na zdobycie Lwowa.

Oprócz tego Rada Miejska przeznaczyła 10.000 guldenów z funduszków gminy na rzecz wystawienia pomnika wielkiemu obrońcy kraju i chrześcijaństwa. Przy powzięciu tej uchwały rozwinął się na posiedzeniu Rady spór zasadniczy o to: w jaki sposób najwłaściwiej uczcić trwale pamięć Sobieskiego? Kilku radnych, z professorem Małeckim na czele, oświadczyło się przeciw stawianiu pomnika, jako rzeczy martwej a zbyt kosztownej. Oświadczyli się zatem za utworzeniem z przeznaczonego na to funduszu, zamiast pomnika, jakowejś pożytecznej instytucji, pod imieniem Sobieskiego, jako to: szkoły, domu pracy lub przytułku, albo fundacji stypendyalnej. Przeciwnego zdania była większość Rady, nie uważając pomnika, za rzecz niemającą szerszej doniosłości. Mają też i pomniki, poświęcone utrwaleniu pamięci ważnych zdarzeń dziejowych i wielkich czynów przeszłości, swe moralne, że tak powiem, pedagogiczne w życiu społeczeństw znaczenie, które się nie da zastąpić szkołą lub stypendyalem zapisem. Są one także szkołą, podającą naukę, która głębokim zapisuje się w umysł wrażliwym i przechodzi w tradycję pokoleń. Z tego zapatrując się stanowiska, Rada Miejska nasza pozostała przy pierwotnym wniosku, co do postawienia pomnika Sobieskiemu.

O wycieczkach, mimochodem, przynajmniej z obowiązku korespondenta, wspomnieć należy; odbyły się one, jak co rok, na torze wycieczkowym Janowskim. Świat wielki, arystokratyczny, zatrzymał się przed wyjazdem na sezon kąpielowy, umyślnie, aby przez te trzy dni okazać się w komplecie i popisać świetnością zaprzęgów; ludźmi ubogimi, nęconymi ciekawością, dążył pieszko za powozami i jeźdźcami. Wogóle jednak wycieczki nasze nie mają już tej świetności i uroku, jak dawniej; spowszedniały zwłaszcza, gdy się przekonano z biegiem czasu, że oprócz jaskrawego popisu hippicznego, nie przynosią trwałszych korzyści i na podniesienie chowu koni w kraju wogóle nie wpływają. Spółzawodnictwo wycieczkowe ogranicza się u nas w gronie kilku sportsmenów, pielęgnujących u siebie konie wycieczkowe i stawających z niemi co rok w szranki wycieczkowych popisów. Imiona tychsamych właścicieli koni powtarzają się z małą różnicą na każdorocznym programacie wycieczek. Dla miłośników koni i jazdy konnej jest to niezaprzeczenie zabawa bardzo przyjemną; dla ciekawej i żądnej wrażeń publiczności dosyć nużąca, a dla kraju... grzecznie powiedziawszy, wyrazem w modzie u nas błądzącym—nieprodukcyjną.

Towarzystwo wycieczkowe powzięło jednak było zamiar wprowadzić w życie, obok wycieczek, rzecz bardzo pożyteczną: mianowicie próbę siły koni użytkowych i roboczych, połączoną z premiowaniem celujących koni, bądź pojedynczych, bądź całych zaprzęgów, na wzór podobnych popisów w Niemczech i Francji, znanych pod nazwą *concours hippique*, które wielce do współzawodnictwa w staranności o podniesienie chowu koni tam się przyczyniły. Projekt rozbił się nateraz o brak funduszków. Rząd odmówił subwencji na premie, a bez zasiłku rządowego, ze składek prywatnych w kole inicjatorów, trudno było myśleć o zebraniu dostatecznego funduszu.

Podczas gdy sportsmeni zajmowali się przygotowaniem do wycieczkowego popisu, kraj cały od kilku miesięcy zajęty był agitacją wyborczą, żywszą niż kiedykolwiek dawniej, z powodu otwierającej się w roku bieżącym nowej, sześciolatniej kadencji sejmowej. Skoro dodamy, że oprócz tego wypadł w tym samym czasie wybór nowej Rady Miejskiej we Lwowie, to wyobrazić sobie będzie można, w jakim wirze zabiegów wyborczych, w jakiej atmosferze polityczno-oratorskiej żyliśmy tutaj ostatnimi czasy, ile, razem wzięwszy, wysłuchaliśmy mów kandydackich, ile rozwinęto najrozmaitszych poglądów politycznych w rozmaitych kierunkach systematów ekonomicznych, projektów administracyjnych i t. p. i jak wreszcie energiczną a rozległą czynność musiał rozwinąć centralny komitet wyborczy, aby wśród tego

wiru krzyżujących się prądów, przeprowadzić wybory w duchu pożądanym. Jakoż, dzięki w znacznej części tym usiłowaniom, jakoteż obywatelskiemu poczuciu i znacznie wykształconemu z biegiem czasu i rozwojem spraw autonomicznych, zmysłowi politycznemu ogółu wyborców, ostateczny wynik wyborów sejmowych okazał się pomysłnym, a zwycięstwem zdrowego rozumu ludności jest ten wielce znaczący objaw, że z kuryi włościańskiej nie wybrano, jak bywało dawniej, włościan, którzy zasiadłszy na ławach poselskich, byli tylko nierozumiejącymi spraw sejmowych figurantami w Izbie, uciążliwym balastem czynności parlamentarnych; lecz powierzono wyłącznie mandaty osobom ze sfer intelligencji, kandydatom przez komitet centralny zaproponowanym. Przed laty dwudziestu w pierwszej kadencji sejmowej zasiadło w Izbie pięćdziesięciu kilku włościan. Tak wielka bowiem była nienfność ludności wiejskiej wogóle do sfer intelligencji, że zdawało się jej, iż tylko włościanin szczerze i skutecznie na straży jej praw i interesów stać może. Dzisiaj, pouczeni doświadczeniem kilku kadencji sejmowych, przekonali się włościanie, że, nie posiadając odpowiednich przymiotów, są w sejmie wcale nieużytecznymi; z drugiej zaś strony przekonali się i o tem, że sejm nie kieruje się w swych czynnościach jakimikolwiek stronnictwami, kastowymi widokami, lecz szczerze i sumiennie dobro ogółu kraju i ludności wiejskiej ma na celu. Przekonanie to objawiło się wybitnie przy wyborach tegorocznych, które bądźco bądź, pomimo sarkania malkontentów i przeciwników, są wyrazem powszechnego przekonania naszej wiejskiej ludności i niezawodnie wyjdą jej na pożytek.

Wybór nowej Rady Miejskiej wypadł także pomysłniej niż przed trzema laty. Obecnie weszło w skład rady znacznie więcej żywiołu inteligencji, uzdolnionego do kierowania sprawami miasta. Nowa Rada obrała burmistrzem, czyli jak tu nazywają, prezydentem, miasta, Wacława Dąbrowskiego, najczystszej krwi reprezentanta mieszczaństwa tutejszego, tej mianowicie sfery, która przed innymi obywatelstwem miejskiem się mieni. Po raz to pierwszy został wybrany prezydentem miasta, nie adwokat, nie prawnik, ale rzemieślnik, który doszedł tej godności, nie ubiegając się o nią, ale skutkiem uznania zaćności charakteru i zdrowego poglądu na sprawy miejskie, zastępującego brak prawnych i wogóle teoretycznych wiadomości. Wogóle wybór ten uważać należy za bardzo pomysłny dla miasta i pewnym być można, że obecny prezydent, zastępując się w rzeczach ściśle prawnych syndykiem miejskim, pod względem porządku i dobrobytu miasta, którego potrzeby i stosunki doskonale mu są znane, ze stanowiska praktycznego wychodząc, więcej zdziała niż jego poprzednik. Dąbrowski przez lat kilkadziesiąt, od wyrostka zajęty pracą rękodzielniczą, jako lakiernik, doszedł nie tylko do pięknego majątku, ale co więcej, zjednał sobie uczciwe imię i powszechne poważanie. Od czasu autonomicznej organizacji, wszedłszy przed laty dwudziestu do Rady Miejskiej, zajmował się bardzo gorliwie sprawami miejskimi, odznaczając się zawsze praktycznym zdrowym sądem w ocenianiu spraw miejskich. Wybór jego obecny jest hołdem oddanym cichej ale nieskazitelnej wieloletniej pracy i zasłudze, niedrapującej się w okazałe pozory, ale usiłującej zawsze być pożyteczną społeczeństwu we właściwych sobie granicach, na odpowiednim polu.

Wystawa sztuk pięknych, spóźniona bardzo w tym roku, będzie otworzona dopiero w Lipcu, w najmniej ku temu sprzyjającej porze, wówczas albowiem, gdy znaczna część publiczności, tej właśnie, którą zajmują sztuki piękne, wyjedzie z miasta. Mamy za to obecnie małą wystawę prywatną, składającą się wprawdzie tylko z kilku obrazów młodego artysty Jacka Malczewskiego, tudzież Kossaka i Grabowskiego, i kilka biustów rzeźbiarza tutejszego Barączka, lecz z powodu wartości dzieł wystawionych, zasługującą nie mniej przeto na uwagę powszechną. Dwa obrazy Malczewskiego, z których jeden przedstawia „Grupę więźniów, w chwili wypoczynku od roboty więziennej“, a drugi „Konającą kobietę wśród otaczających łoża śmiertelne przyjaciół“, są w ro-

dzaju Grottgerowskim i wywierają potężne wrażenie. Zwłaszcza pierwszy z nich, posiada zalety znamionujące wielką przyszłość artysty. Wszystkie tu postacie są pełne charakteru i wyrazistości. Na wszystkich obliczach maluje się odmienne według wieku i usposobienia każdej z osób, składających kompozycję, boleść i rezygnacja, niedozwalająca upadać pod znudzeniem i ciężarem rozpacz. Głęboko pojęte i prześliczne są wszystkie te postacie, każda w swoim rodzaju, od starca na pierwszym planie, siedzącego w zadumie, aż do opartej w dali o mur dziewczyny, z wejrzeniem pełnym niezrównanej melancholii i słodyczy. Na drugim obrazie, przedstawiającym konającą w pełni młodości kobietę, uchwycił malarz chwilę, gdy powłoka śmierci już oszkliliła i jak mgły całunem oblicze konającej, z którego wszakże nie uleciał jeszcze ostatni promień życia. Piękna to postać, choć grozą śmierci owiana. Pomiędzy stojącymi u łoża osobami, nie wszystkie może posiadają tyle wymownego wyrazu, co na obrazie poprzedzającym, lecz i w tem na dnie rzeczy leży myśl prawdziwa, bo ileż jest ludzi w rzeczywistości, do tego stopnia znękanych życiem, iż widok śmierci nie wywiera już na nich wrażenia takiego, jak na innych, mniej znękanych przeciwnościami, dla których nie zgasły wszystkie jeszcze promienie nadziei i nie spopielało wszystkie uczucie w duszy! Niemniej przeto obraz ten posiada wiele tragicznej siły, jedną z najwymowniejszych, z najbardziej artystycznie pojętych postaci, otaczających łożo konającej, jest kłęczący obok mężczyzna, który w niemy rozpacz opuścił głowę na łożo, a tak boleje serdecznie, iż boleść tę każdy z patrzących w głębi duszy odczuwa.

Trzeci obraz Malczewskiego przedstawia scenę z poematu Słowackiego. Zapewne że obraz ten, jak to powszechnie bywa z kompozycjami mającymi ilustrować idealne pomysły wielkich poetów, nie dostraja się do tego ideału, w jakim fantazyi czytelnika przedstawiają się allegoryczne sceny Anhellego. Anhelli jest tutaj za mało poetycznym, Eloie nie tak piękną, nie taką może, jaką ją sobie czytelnik poematu Słowackiego wogóle wyobrażał; ale obraz jest malowany znakomicie pod względem akcesoriów, podobnie jak i oba poprzednie. Wkrótce obaczycie go i osądzicie sami w Warszawie, dokąd ma być temi dniami wysłany. Nie piszę przeto o nim obszerniej.

Jest jeszcze i czwarty obraz Malczewskiego: portret kobiety, który jakkolwiek tracić musi przy wystawionym obok portrecie naszego Andrzeja Grabowskiego, nie będąc tak wykończonym jak tamten, ułożeniem rysunkiem i wyrazem świadczy, że młody artysta i na tem polu powodzenie mieć może.

Grabowski, to nieznudzony pracownik na właściwym sobie polu. Ciągłe spotykamy się z nowymi jego portretami, z których każdy jest wykonanym dziełem, obfitującym w zalety. Obecny portret mężczyzny świadczy, że pędzel Grabowskiego nabiera widocznie coraz więcej miękkości i szlachetności, które to przymioty obok dawniejszych, podnoszą jeszcze artystyczną wartość tego sumiennego i o świat sztuki głębszą myślą sięgającego malarza-portrecisty.

Akwarella Juliusza Kossaka, przedstawiająca wjazd króla Sobieskiego do Wiednia, po dokonanej odsieczy, przeznaczona na tegoroczne premium Krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych, nastroczyła bogatej fantazyi artysty przepyszny przedmiot, tak w oddaniu świetności orszaku poprzedzającego zwyciężcę tryumfatora, jako też w ugrupowaniu tego tłumu różnorodnej ludności z uniesieniem, zastępującego drogę swemu wybawcy, z wdzięcznym i radosnym powitaniem.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

— W dniu 27 Czerwca odbyło się na Koszykach poświęcenie kościoła, powstałego z daru

ś. p. Tekli Rapackiej. Dar ten wynosił 82,000 rs. Kwestą na potrzeby wewnętrznego urzędnika kościoła zajęły się pobożne panie, przyczem hr. Ida Mostowska położyła na tacy kwestarek, prócz datku w kwocie 100 rs., zapis testamentowy w summie 3,000 rs., obiecując zarazem nadesłać bieliznę potrzebną do obrządków kościelnych. P. Springerowa ofiarowała duży obraz olejny: *Przemienienie Pańskie*. Inne parafianki podjęły się utkać kobierzec do zasłania stopni ołtarza.

— Pierwsza partya dzieci, wysyłanych na wakacje letnie: 32 dziewczynki, wyjechało z Warszawy w d. 1 Lipca. Dziewczynki, były podzielone na dwie grupy: pierwsza, licząca ich siedemnaście, udała się do wsi Janowa, gdzie ofiarowała im gościnność p. Walerya Trzetrzezińska; druga w liczbie piętnastu, do sąsiedniej wsi Osiny; opieka nad pierwszą grupą powierzona p. Zamulewiczównie, nad drugą p. Brochockiej.

— W *Taniej kuchni*, otwartej na Podwalu w domu Schlagera, urządzono osobną salę jadalną dla kobiet. Obiady wydawane są od południa do godziny czwartej.

— Warszawskie Towarzystwo Muzyczne, w dowód uznania talentu i zasług obywatelskich p. Józefa Reszkówny, zrobiło ją swoim członkiem honorowym. Pożegnanie jej przez publiczność na ostatnim przedstawieniu dnia 3 bieżącego miesiąca, było wzruszające, nietyle przez klejnoty i pyszne bukiety, pyszne kosze kwiatów, jakie jej ofiarowała publiczność z łoż i krzeseł, ile przez wianki i głosy gorącego, prawdziwego zapalu, jakie podnosiły się z galerii górnych. Nastąpiło to po akcie z *Halki*, gdyż chciano uczcić w niej przede wszystkim uczucia obywatelskie, których dowód dała. Głównie była to młodzież klas średnich, która z namiętnem uniesieniem wyciągała ku niej ręce i żegnała ją kapelusami. Twarz artystki rozjaśniał też wyraz prawdziwie wdzięcznego uczucia i dziwnie miłego rozradowania. Dasze piękne, ludzie z czystem, podniosłem uczuciem w piersiach, mogą jednak pozyskać sobie na świecie chwile szacowne słodkiego wzruszenia.

— *Gazeta święteczna* podaje fakt wzruszający i pouczający zarówno. W pewnej wsi Nadwiślańskiej obowiązki nauczycielskie pełniła przez lat kilka młoda panna, pracując z taką starannością a zarazem umiejętnością i znajomością rzeczy, że szkoła jej przedstawiała wzór do naśladowania. Dzieci korzystały tak pod względem nauki, jak i moralności; kilku pilniejszych uczniów, po skończeniu szkoły, okazało się zdolnymi do nauczania dzieci we wsiach okolicznych, gdzie szkoły niema, a jeden z nich wyszedł nawet na pomocnika i zastępcę nauczycielki w szkole, której był uczniem. Ale mozolna praca, przy niesilnym zapewne organizmie, podkopała zdrowie nauczycielki, potrzeba było leczyć się i jechać po to do Warszawy, co przecież spowodowało wielki żal nie tylko między dziatwą szkolną. Rodzice cenili i kochali również nauczycielkę swych dzieci; pisywano więc, dowiadując się o stan jej zdrowia i czas powrotu, który jednak nie mógł prędko nastąpić, ponieważ lekarze warszawscy nakazali odpoczynek i wyjazd do kąpieli zagranicznych, o czym we wsi dowiedziawszy się z wielkim smutkiem. Że przecież chora miała jechać koleją żelazną, której tor przechodzi niedaleko, dzieci postanowiły zobaczyć ją jeszcze i pożegnać w czasie trzechminutowego przystanku. Zebrało się ich w tym celu około czterdziestorga i gromadka ta, z kwiatami dla ukochanej nauczycielki zebranymi, przebyła przeszło pół mili drogi uszykowawszy się w pobliżu dworca kolejowego, czekała na nadejście pociągu. Gdy tylko stanął, cały ten drobiazg rzucił się ku wagonowi i wzruszająca scena, która nastąpiła, zwróciła nie tylko uwagę innych podróżnych, ale i urzędników kolei. Przedłużono przystanek o ile było można, każdy z obecnych był głęboko wzruszony objawem tak tkliwego uczucia ze strony prostych, wiejskich dzieci, lecz zarazem każdy ze czcią patrzył na młodą nauczycielkę, która je wzbudziła w sercach, zwykle uważanych za twarde i surowe. Można jej było podać w dodatku do kwiecica wiejskich ogródków, dębowy wieniec zasługi obywatelskiej. Jaka szkoda, że *Gazeta święteczna* przemilczała nazwisko tej szlachetnej panny!

— W Lublinie otwarty został w d. 1 Lipca nowy Zakład przemysłowo-rękodzielniczy dla kobiet. Założycielką jest p. Buchaczowska; uczyć tam będą strojów i krawiecczyny kobiecej, szycia i kroju bielizny, szycia i kroju rękawiczek, szewstwa kobiecego introligatorstwa.

— *Gazeta lubelska* pisze, że tamtejsze kobiety, bez rozpraw o emancypacji, bez dowodzenia praw swoich do pracy, usiłowały mieć się tej pracy pilnie i wytrwale. Dodając też: „Przywykliśmy widzieć kobiety prowadzące zakłady introligatorskie, szewskie, handlowe i przemysłowe, oraz fotografistki, telegrafistki“, donosi, że przed niedawnym czasem, pracowała w jednej z tamtejszych drukarni zecerka, a od roku już w kancelaryi jednego z biur pracuje młoda panna jako kopistka, pomagając w ten sposób do utrzymania domu. Praca jej jest tem moźolniejszą, że niekiedy musi godziny całe spędzać beczynnienie, a niekiedy znów, przy nagłej robocie, pracować nocami. Praca ta, choć wynagradzana skromnie od arkusza, przynosi jednak dochód o wiele większy, niżby mogło dać zajęcie igłą. Wspomniana panna ma charakter pisma czytelny, równy, zupełnie męzki i prawdziwie kancelaryjny.

— Muzeum pszczelnicze na Koszykach ogłasza, że dla pragnących uczyć się pszczelnictwa, miewane będą co Niedziela od godziny 11-ej zrana wykłady, obok których w każdy dzień pogodny objaśniane będą w pasiece demonstracyjnej i w pasiekach przyległych zajęcia praktyczne. Dla kobiet wyznaczono na ten cel godziny od 11-ej rano, do 3-ej popołudniu.

— Konkurs Warszawskich Ochmistrzyń wyższych szkół dla dziewcząt na wydawnictwo imienia ś. p. Pauliny Krakowowej, którego termin nadsyłania prac konkursowych zamykał się w dniu 29 Czerwca r. b., otrzymał utworów cztery: „Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło“ — „Nasza dziewczeczka“ — „Sama jedna“ — „Pamiętnik Elżuni“.

— Jeden z naszych naukowych ludzi wyższego znaczenia, a dodać trzeba: jeden z ludzi wysoce znacznych i w głąb potrzeb społeczeństwa naszego bacznie patrzących, przesyłając nam spostrzeżenia swoje co do spraw wychowania w okolicach zabużańskich i zaniemeńskich, pisze: Odessa jest tem dla gubernii Podolskiej i innych, czem np. Ryga dla Inflant i zachodnich gubernij, wielkim miastem, o kilka godzin drogi od nich oddalonem. Wobec takich warunków geograficznych a głównie wobec ciężenia wszelkich ekonomicznych stosunków tych gubernij ku Odessie, nader ważną rzeczą jest posiadać tam dobrą szkołę dla dziewcząt wraz z internatem. Otóż taką wzorową pensją, jest zakład p. Maryi Skrzyżwan, prowadzony przez nią przy najszlachetniejszych dążnościach z poważnym zasobem wiedzy i doświadczenia pedagogicznego. Obok przedmiotów klasycznych, wykładanych tam według programatów rządowych, rzeczy swojskie i muzyka są tam bardzo starannie i wysoko już uprawiane. Wychowanki spotykają się w tej szkole z atmosferą życia rodzinnego, życia pracy i myśli podniosłej, i z tem swojskiem otoczeniem, które jest niezbędne dla ukształcenia przyszłych naczelniczek naszych gniazd rodzinnych.

— Owdowiała baronowa Rotschild z Paryża, uczyniła wspaniałą ofiarę 500.000 franków na wzniesienie domu dla zmęczonych wiekiem lub pracą literatów francuzkich.

— Rozgłosna Ludwika Michel, zwana szyderczo wielką obywatelką, została skazana przez sądy francuzkie na sześć lat więzienia za udział w zaburzeniach ulicznych i zakłócenie spokojności publicznej, w dniu 6 Marca roku bieżącego.

— Na wystawie sztuki w Rzymie wystąpiła w dziale malowania olejnego wielka ilość wystawczyń. Jest ich liczba poważna między malarzami przedmiotów z historii starożytnej, oraz między

portrecistami. Zpośród tych ostatnich odznacza się Fernanda Gatti, której portret Garibaldegoma być przez doskonale uchwycony charakter oblicza jedną z najlepszych podobizn bohatera. Młoda panna, Lilda Maldura wystawiła wielkie płótno, przedstawiające króla Manfreda przed bitwą pod Benevento. Król patrzy na portret ojca, w którego rysach czytać się zdaje groźbę gniewną i rzuca się w tył, jakgdyby z krzykiem, chwytając się za królewską swą koronę. Obraz ma posiadać wiele życia i doskonałą technikę malowania.

— Berlińska Szkoła gotowania, założona i prowadzona przez Stowarzyszenie Berlińskich Gospodyń (Berliner Hausfrauen-Verein) wystąpiła na Wystawie Hygienicznej w sposób bardzo zajmujący i zarazem pożyteczny. Ściaga też liczne tłumy ciekawych, którzy w znacznej części stają się zarazem konsumentami potraw na przenośnej kuchni żelaznej pod oczyma widzów przyrządzanych. Okazami tej wystawy są, tak najracjonalniejsze i dla zdrowia najlepsze sposoby gotowania, jak naczynia używane w kuchni i przedmioty, z których składają się potrawy. Rozmaite przetwory kunsztu kulinarnego, zwłaszcza konserwy mięsne, owocowe i jarzynowe, które pomagają gospodyni do posilnego i zdrowego żywienia rodzin, są również wystawione, wkrótce przyrządzone, wreszcie do spożycia żądającym tego osobom podane. Drukowane jadłospisy oznajmują publiczności, jakie potrawy dnia tego Szkoła Gotowania przyrządza zamierza. Łączy się z tem i pewien kurs towaroznawstwa, ponieważ publiczność zostaje objaśniona, jakiego rodzaju przetwory przemysłu kulinarnego i jakich gatunków produktu są przez szkołę gotowania używane a to nawet z wymienianiem sklepów i przekupniów, od których nabyte zostały. Część wystawy stanowią również sposoby prowadzenia porządku w kuchni, utrzymywania naczyń i czyszczenia ich. Z czego ma się zdrowe jadło składać, jak i w czem gotować je należy? oto, co wystawionem zostało przez szkołę gotowania. Kuchnia niemiecka nie używa szczególnej sławy i jakkolwiek zarzucają jej znawcy, że właśnie racjonalnie pożywną nie jest, sądzić jednak trzeba, że niejedną pożyteczną wiadomość, niejedną dobrą

wskazówkę hygieniczną może nabyć i nasza gospodyni, jeżeli przy przejeździe przez Berlin, zwiedzając Wystawę Hygieniczną, wejdzie do ubocznego pawilonu, na którym znajduje się napis: „Die Kollektiv-Ausstellung in der Kochschule der Hygiene“. Między innemi przedmiotami znajdzie tam po lewej stronie pawilonu tors, który wewnętrzne organa człowieka okazuje, i ztąd potrzebnym jest dla uczennic szkoły, gdy przy wykładzie o strawności lub niestrawności potraw, należy organa trawienia i funkcyje ich poznać. W pobliżu znajdują się wystawione próbki towarów kolonialnych i pochodzących ze składów aptecznych, a które również służą uczennicom do objaśnień przy wykładach towaroznawstwa. Na prawo od wejścia do pawilonu znajdują się książki kuchenne szkoły, po większej części wydawane pod redakcją zacnej filantropki, naczelniczki Berlińskich *Tanich Kuchni* i *Stowarzyszenia Gospodyń Niemieckich*, Liny Morgenstern. Zwraca to uwagę publiczności, iż mimo panujących upałów, nie z zapasów szkoły gotowania nie fermentuje. Oprócz wybornych lodowni Szkoły, używanym tu jest proszek salicylowy dr. von Heynen, który przecież nie miesza się z pokarmami, czego zakażają lekarze. Zwiedzając pawilon Szkoły gotowania dużo się nauczyć można w zakresie gospodarstwa domowego, to też jest to skutkiem wystawy, że od 1-go Czerwca znalazło się w Szkole Gotowania *Stowarzyszonych Gospodyń Niemieckich* uczennic więcej nad programmat. Programmat szkoły obejmuje tylko uczennic 30, obecnie jest ich 34, czyli cztery zostały przyjęte nad przepis. Rozpoczął się obecnie w szkole kurs robienia zapasów owocowych, jak: soków, konserwów, konfitur i t. d.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 8-my tomu III-go powieści pod tytułem: **Aż do śmierci.**

Tania książka do nabożeństwa

Wyszło z druku 5-te poprawne i pomnożone wydanie książki pod tytułem:

GŁOS DO BOGA,

Nabożeństwo domowe i kościelne dla ludu katolickiego,

z modlitw i śpiewów najużywanych,

ulożył ksiądz JÓZEF GACKI, proboszcz,

Książka ta ułożona przez światłego i doświadczonego kapłana, obejmuje w sobie:

Rady jak żyć po chrześcijańsku. — Pacierz, oraz treść katechizmu. — Modlitwy w różnych okolicznościach. — Modlitwy poranne i wieczorne z rachunkiem sumienia. — Nabożeństwo pokutne. — Modlitwy rozmaite. — Litanie do ŚŚ. Pańskich. — Modlitwy przygodne. — Nabożeństwo przy chorych, za dusze zmarłych. — Drogi krzyżową czyli stacye męki Pańskiej. — Śpiewy kościelne. — Pieśni do Pana Jezusa. — Pieśni przygodne: do Matki Boskiej, o ŚŚ. Pańskich. — Śpiewy za umarłych. — Katechizm początkowy. — Służenie do Mszy Świętej.

Cena egzemplarza. W oprawie w płótno angielskie kop 80; w skórę kop. 82½; w skórę ze złoceniami brzegami Rs. 1. Za przesyłkę doliczy się kop. 10.

Jest do nabycia we wszystkich księgarniach.

Osoby zapisujące od razu 10 egzemplarzy, kosztów przesyłki nie ponoszą; żądający więcej na raz egzemplarzy, otrzymuje ustępstwo za porozumieniem się z wydawcą.

Skład główny przy ulicy Królewskiej Nr 5, w księgarni M. Glücksberga, wydawcy.

TREŚĆ. Do... (poezya), przez Róża. — Kobieta i Dobroczynność, II, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką. — Na Polesiu, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Іюня 1883 года.